Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 19. Poznań, dnia 12. Sierpnia. **1844.**

KOŚCIÓŁ PANNY MARYI
w Warszawie.

PODANIE.

Przy ciepłym piecu posadzili dziada,
Młoda gosposia wedle niego siada;
Począł on tedy, jak się jeno uda,
Prawić te cuda.

Pieśń dziadowska.

Któż z pomiędzy mieszkańców Warszawy nie zna kościoła Panny Maryi, z jego wysoką, czworościenną wieżą, królującą, jak baszta warowna nad Wisłą i miastem całém? Jest to bez zaprzeczenia najdawniejsza budowa w stolicy, o wiele starsza od katedry Ś. Jana. Pomimo tak odległéj starożytności, kościół ten przecież żadnych prawie nie zawiera pamiątek, kiedy tymczasem ściany katedry pokryte są wielkiém ich mnóstwem. Znać, że w koło niego nigdy nie mieszkało bogactwo i duma kładące marmury na grobach, ale praca i ubóstwo; tak też jest i do dziś dnia — najwięcéj napotkać tu można rybaków, wyrobników, mularzy i innéj niezamożnéj ludności. W pośród téj to ludności dochowało się też aż dotąd podanie o początku kościoła, które — nie wchodząc w sąd o prawdzie i wartości jego — spisuję wiernie nie dodając, ni ujmując, tak, jak mi dziad od dawna w kruchcie siedzący, opowiedział.

* * *

Było to dawnych, bardzo dawnych czasów, kiedy na miejscu, gdzie dziś stoi Warszawa, las jeszcze gęsty powstał, — opodal gdzieś po nad Wisłą, mieszkał był bogaty młynarz Warsz. Przy pracy i ogiędności szczęśliwie mu się darzyło: chleba i miodu nie brakło, a grosza, co gdzieś tam w ziemi leżał w miedzianym zachowany kotle, byłby mu pewnie pozazdrościł nie jeden z ówczesnych drapieżnych książąt. Otóż zdało się, że owemu młynarzowi nicby dolegać nie miało, on przecież był smutny często i często mówiąc do żony powtarzał: »Bóg nam niełaskaw.« I słusznie trapił się on, bowiem dotąd ich miłość, jak kwiat zawczesny, była jeszcze bez owocu. Oboje tedy dawali hojne jałmużny, a z porankiem powstając i kładąc się spać wieczorem, prosili gorąco Maryi-matki, aby im zesłać raczyła potomstwo. I stało się, że jednego wieczora Warsz, modląc się dłużéj, niż zwykle, snem zamorzony zasnął był klęcząc. A gdy zasnął, przed oślnionémi oczyma jego, ukazała się otoczona chórami aniołów, w szacie z kolorowéj tęczy, z małym synaczkiem na ręku błogosławiona Boga-Rodzica Marya. I kiedy młynarz zaląkł się wielce, rzekła doń: »Nie trwóż się miły człecze, a posłuchaj, co ci powiem i uczyń tak. Chceszli by wysłuchane były prośby twoje? Oto, skoro ranek wznijdzie, powstawszy wstaniesz i pójdziesz, idąc po nad brzegiem rzeki. I będziesz szedł aż dopóty, dopóki nie zobaczysz bielącego się na ziemi śniegu — i na miejscu tém zbudujesz kościół ku czci imienia mojego i sam około niego zamieszkasz. A narodzą się ci liczne niemowlęta i błogosławić im będę w miejscu owém, że wszystko darzyć się im będzie; a nie będą znali śmierci, bowiem ja zmartwych ich zbudzę.« — I powiedziawszy, zniknęło owe widzenie — a młynarz cały drzący wstał ze snu. Na niebie właśnie poczynało było świtać; przetoż upadłszy na kolana, dziękował Bogu za cud i, pochwyciwszy wędrowną laskę, szedł, jako mu przykazano. Było to zaś wpośród żniwa, a lato było gorące i suche. Szedł przecie młynarz nie tracąc ufności ponad brzegiem białéj Wisły, choć pod stopami jego, jak żar gorący był piasek i trawa żółta od słońca świeciła się po pagórkach. I nie daleko jeszcze uszedł był w swéj drodze, kiedy o samym największym południa upale, ujrzy na wysokiéj górze bielący okres świeżego śniegu. Złożył tedy na owym chłodnym kobiercu gorące modły dziękczynne i wesół wrócił do domu. Wnet zwołani rzemieślnicy jęli się budowy kościoła, a że niczego nie szczędził bogaty młynarz, rosła ona, jak na drożdżach i w rok stanęła cała taką, jaką jest po dziś dzień; na pamiątkę

zaś rozkazał Warsz mularzowi, by w tylną ścianę wbudował ogromny kamień młyński. — Kościół poświęcony został pod nazwaniem N. P. Maryi Śnieżnéj, i tegoż samego dnia chrzczono w nim dwoje bliźniaków, dziatek młynarza. Dzwon, co z wysokiéj powitał ich wieży, brzmi dotąd nad wielkiém miastem i woła lud swój co dnia do pracy i modłów.

Warszawa 30. Marca 1842.

Roman Mazur.

KOCHANKOWIE.

Obraz z domowego pożycia.

Ach! pytaj raczéj, na co dobroć się tu przyda,
Gdzie co czułe, szlachetne, tylko chwilę świeci,
Gdzie rola wzniosłych chęci zawsze się nie uda,
Bo w śliczny welon cnoty stroi się obłuda,
Gdzie tylko jedna słodycz — w wzajemnym zachwycie
Serc wiernych, niezgadnionych zanurzyć swe życie....

Marya Mal.

I.

Pamiętasz, »kiedy pierwsza wiosny błyskawica« zajrzała do duszy, jakeś ukryty w umówionéj alei czychał bacznie, póki nie nadbieży kochanka — uściśniesz, pocałujesz, choćby tylko na powietrzu — oto już zdala miga jéj szata, serce ci chciało z piersi wyskoczyć: tu ktoś drogę jéj zaszedł, zatrzymał dziewczynkę twoją — tyś czekał daremnie — o! co się to działo w twéj duszy — tysiące przekleństw z niéj się wydarło. Tak duszę czującą rozstroją dzieje niecnoty, co zmąciły spokój lubego życia wśród wiejskiéj zagrody. Wszystko tu cicho, spokojnie, bez obłudy dni im płyną — zda się, że ci serce się rozpłynie, kiedy pojrzysz po tém życiu szczęsném w miłości ludzi i Boga, kiedy wszystko tam dobrze się i poczciwie dzieje — najpiękniejsze marzenia już się mają urzeczywistnić: tu niecnota znienacka swoje żądło wśliźnie — miasto szczęścia smutek i niedola. O! stokroć przeklęte te serca z głazu! Co się stało opowiem.

* * *

Wśród gęstych lasów stał cichy — skromny leśniczego domek. Miłe było wejrzenie tych leśnych zabudowań, okolonych ogrodem, gdzieś ujrzał kwiecistych zagonków pare i sadek nie lada, boć dobre to mienie takiego sługi a pana.

Pan leśniczy, którego Adamem nazwiemy, o miano familijne nie troszcząc się, był to młody mężczyzna wysokiéj, a mężnéj postawy. Twarz czerstwa, rumiana, zwieszone policzki i brzuszek po Bogu — wszystko dało ci poznać, że ani namiętność mu się jeszcze zbytnie nie dała we znaki, ani też burzliwe losu koleje zbytnią troską i cierpieniem nie popsuły jego serca.

Choć biednych rodziców i miernych zdolności, przecięż pracą dokazał tyle, że ukończywszy szkoły, począł był zwiedzać uniwersytet, kiedy nagle wykrycie jakichś tajnych związków, do których miał należeć, skompromitowało go niepomału, co też było przyczyną, że ***, dziedzic licznych posiadłości, widząc zrunowaną publiczną karryerę kształcącego się młodzieńca, zajął się jego losem i wkrótce uzdatnionego ku temu Adama znaczną posadą leśniczego udarował. Lubo powszechnie poważany nie lubił przecież światowéj wrzawy i żył prawie sam dla siebie. Należał on do rzędu tych ludzi, co kształcąc się umysłowo, chléb pragną miéć pracy swéj nagrodą: to też skoro zapewnioną miał eksystencyą, o resztę świata mniéj się już troszczył. Tak to u nas najgęściéj się dzieje nam na smutek, drugim ku pociesze......

Domowe jego pożycie ograniczało się na wzajemném odwiedzaniu się z wiejskim dworkiem, co po za borem bielał wśród smagłych topoli, gdzie go z Edwardem, najstarszym synem owdowiałéj dzierzawczyni, od szkólnych jeszcze czasów najściślejsza łączyła przyjaźń, a kiedy po kilku latach leśnego urzędowania, wprowadził w dom swój młodą małżonkę, to i młode siostry Edwarda cieszyły się z blizkiéj towarzyszki.

Bodaj który mąż kochał żonę szczerzéj, jak Adam swoję Ludwisię. I z jéj też pieszczot, z jéj zawieszania się na jego szyi, kiedy choć na chwilę miał wyjeżdżać, z jéj przed ludźmi wynurzanéj tęsknoty za nieobecnym trzeba było wnosić, że umie wzajemnością odpłacać jego miłość czystą. Ja wiem inaczéj.

Młodym panienkom w wiejskim dworku nie zawadziła wcale bliska sąsiadka, młodych lat jeszcze i wesołéj duszy. Wielkie panie to mówiły: »Snać panienek edukacya nie zdaleka, że ze sługi żoną mają przyjaźń, i tak ścisłą. A znów dziewczę w wiejskim dworku pomyślało: »Z niskim domem miléj pożyć, bo ci uczuć tam nie kłamią!« Tak panienki pomyślały, tak też dzieje się zazwyczaj, ależ wpośród złotych kłosów pszennych rosną chwasty i kąkole. — W wiejskim dworku lubiono Ludwisię: — to partyą wista, to swobodnym tańcem, to inną grą towarzyską spędzano chwile wzajemnego widywania się. Był ktoś, co najmiléj tańczył z nadobną Ludwisią, co choć samotną najchętniéj do leśnego domku odprowadził, najczuléj rękę uścisnął przy pożegnaniu.

Ludwisia, choć już z Adamem ślubem małżeńskim złączona, umiała się jeszcze i chciała nawet podobać. Wszyscy mówili, że ładna ta twarzyczka okrągła, lekkim okraszona rumieńcem, lubo bieglejszy fyzyolog lekkie zmarszczki wrzących w jéj duszy namiętności wyśledził koło powieki, zalotność dojrzał w niebieskiém oku. — I jakżeż nie miała rosnąć namiętność Edwarda ku młodéj leśniczowéj, kiedy już po kilku pierwszych odwiedzinach wzajemnną skłonność wyczytał w zalotném spojrzeniu, kiedy całując jéj rękę uczuł swojéj lekkie uściśnienie, przy partyi wista wyczytał radość w jéj licu, gdy się umyślnie razem dobrali?

Edward szczéry, otwarty, szczęśliwy przywiązaniem i ufnością rodziny, którą kochał nawzajem, pragnął szczerze jéj szczęścia. Miał jéj ojca zastąpić i z prawdziwą téż dotąd roskoszą trudów wiele ponosił i znoju. Od chwili poznania Ludwisi wszystko minęło. — Ten pierwszy szał uroczy, w którym o niczém się inném nie pomyśli, jak o pięknéin dziś, co zbyt szybko spłynęło wśród pojenia się anielskim kochanego wejrzenia urokiem, za niczém się inném nie tęskni, jak za śliczniejszém jeszcze jutrem, sporo ubieżał, a jak po pierwszych tygodniach kochania myśl o rzeczywistym świecie, o przyszłéj dobie się ozwała — o! to jad puszczony w jego życie, po za leśnym domkiem pędzone samotnie. Jego miłość pewnie pierwsza, bo tak namiętna, czysta, nieskalana: w jéj spojrzeniu, w jéj uścisku, ni o dzisiaj, ni o jutrze pamięć szczęścia nie zatruje, ale jakież nadzieje w chwilach zimniejszéj rozwagi? kochać kobietę cudzą, jedyne szczęście najlepszego przyjaciela, zdradzić przeto przyjaźń, dotąd chowaną tak święcie, —, czy zapomnieć kochania? I w téj walce po za leśnym domkiem tęskno, smutnie dni płynęły. W posępném dumaniu stronił od ludzi, dawnéj łagodności w pożyciu domowém ani znaku — o wszystkiém zapomniał, o rodzinie, dobrém mieniu — wszystko poszło w niepamięć, jakoby sen dni jego omroczył. I lud szemrał, że pan inny; nie jedno płakało biedne pacholę.

Na niczém przecię nie stracił przyjazny dwóch domów stósunek: w sercu skromnych dziewoj, w wiejskim domku uchowanych, podejrzenie nie tak łacno przystęp znajdzie. I któżby był pomyślał, że w téj anielskiéj obsłonie tak szatańska mieszkać może dusza? I Adam po za maskę nie pojrzał, szczęśliwy wiarą w ludzi zasypiał spokojnie. Biedny Adam!.....

II.

Berlińską szosą ku Poznaniowi jechał pocztowy powóz, wiozący Gustawa — o resztę podróżnych mniejsza. Ranek był chłodny — wstające słońce różanym pocałunkiem opromieniło doliny, majową rosą do nowego zbudzone życia. To téż Gustaw co chwila otwierał okno powozu, omglone dymem niemieckich fajek, poił się tym cudnym widokiem odmłodnionéj przyrody, śpiewu skowronka słuchał ciekawie, jak gdyby chciał zasłyszeć, na jaką go powita nutę — ale wnet głos niemieckiego towarzysza: »brrr! kalt!« rozczarował go z roskosznego marzenia, a kiedy uczuł trącającą go łagodnie rękę i usłyszał po za sobą grzeczną prośbę, ażeby tylko »zumachen,« z widoczną niechęcią okno zasuwał.

»Ludzie nieczuli,« pomyślał sobie, »jak u nich najpiękniejsze uczucia przytłumione ziemskiemi żądzami, spekulacyą, egoizmem! Onym majowy wietrzyk tylko skutki przeziębienia stawia przed oczy, wiosenna woń razi delikatne nerwy, zielone pola i dąbrowy zapowiadają im tylko bujne plony, co przyniosą grosza niemało, krzaczek róży nie mówi o życiu kwiatów i chyba im się olejki, dukatami opłacane, przypomną — o ludzie! ludzie!«

Tak myślał Gustaw, sromał się na ten brak uczucia, ale sam zapomniał, że dusza jego w chwili, kiedy się do rodzinnego zbliżał ustronia, bardziéj niż kiedykolwiek do chwilowych skłonną była uniesień. Ku temu nawet niezatartych w sercu wspomnień nie było trzeba — a Gustaw miał ich tyle!.......

On w ośmnastéj życia wiośnie, a w dwa lata po śmierci ojca ukończywszy szkoły porzucił owdowiałą matkę i osierocone rodzeństwo, by w obcych krajach i nadal dla pragnącéj duszy coraz to nowego szukać zasiłku. Wielkiego majątku się nie spodziewał, bo dziedziczna zmarłego ojca wioska po jego zgonie sprzedaną być musiała i matka, któréj wraz z sześciorgiem dzieci służył procent od złożonéj w sądowym depozycie summy, przepędziwszy rok na bruku, siedziała następnie dzierżawą, rządy gospodarcze najstarszemu synowi powierzywszy. Choć więc Gustaw nie mógł zbytnie ufać w spłynąć nań mającą fortunę, jednak z całą siłą młodzieńczego zapału oparł się postanowieniom opiekuna, którego życzliwe chęci w »zapewnieniu na przyszłość kawałka chleba« miały Gustawa szczęście ustalić. —

»On chce mojego szczęścia,« pomyślał Gustaw, »ale jakież to jego szczęście! Nie dziw też, że inne mi drogi naznaczyćby pragnął.

»Chleba! i tylko chleba! Pożałowania godni ludzie! U nich umysłowa praca jest tém lichém narzędziem, którém lada wyrobnik na swoją pracuje eksystencyą. Znać na pamięć wszystko, cokolwiek do zło-

żenia eksaminu na płatnego urzędnika znać potrzeba, a potém użyć podług przepisanéj metody, sądzić wedle litery prawa, podług najlepszego widzimisię zapisać choremu receptę: to u nich jedyne obowiązki stanu, do którego się sposobili kilkoletnią pracą. Uczeni wy, uczeni! miasto szacunku litość wam rzucam w ofierze.

»Poświęcę przyszłość moją usłudze publicznéj, urzędem nawet nie pogardzę, ale czyżby to jedynie ta zapłata, te szumnym tytułom oddawane pokłony miały być pracy méj nagrodą? Znam szlachetną nauki stronę zbyt dobrze, bym innego z niéj miał pragnąć zadowolenia nad to, które sama przez się sprawia, rozprzestrzeniając zarazem serce, by zbadawszy cały ogrom obowiązków, wiążących nas z ludzkością w przeświadczeniu ich pełnienia najmiléj wypoczęło po trudach i znoju. A ku temu trzeba wolnego rozwijania się umysłu i serca, nie zaś ujmowania ich w ciasne kluby szkólnego pedantyzmu, wyznaczającego, jak akuszer, dnie, godziny i minuty dojrzenia tego najszlachetniejszego daru natury.«

Czy te myśli kilka, które Gustaw krótko przed wyjazdem przybranemu ojcu obszerniéj wyłuszczył, trafiły do jego serca, czy téż może własne doświadczenie, lub obca wymowa dowiodły psychologicznie, że takich młodych zapaleńców przymusem nie nawrócisz na jedyną szczęścia drogę, że raczéj rozjątrzysz umysł młodzieńczy: dość, że odtąd zostawiono Gustawowi do woli wybór kierunku do zamierzonego celu, a Gustaw cieszył się najbardziéj z tego, że odtąd słowami prawdy nie potrzebował martwić opiekuna, który w gruncie najpoczciwszym był człowiekiem, i bodaj czego tak pragnął szczerze, jak szczęścia osieroconéj rodziny.

Tak więc Gustaw opuścił prowincyę, nie oznaczając chwili powrotu, ani go téż od nabytéj uczoności, że tak powiem, chlebowéj nie myśląc czynić zależnym: młody był jeszcze, a o fundusz téż kłopotu nie było, bo rodzina swéj części odstąpić była gotowa. Wyjechał i mimo szlachetnego w sercu przekonania i silnéj woli wziął w drogę boleść gorącą, a większą jeszcze żałość zostawił po sobie......

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ODPOWIEDŹ

na recenzyą

Filozofii Ekonomii materialnéj

w Tygodniku literackim.*)

Pojawił się w Tygod. liter. (Nro 52, 1843 r. str. 414 i nast.) gatunek rozbioru przez J. M. pisma p. t. Filozofia ekonomii materialnéj, o którym się recenzent jak najniekorzystniéj wyraża. Co do zarzutów naukowych jakie przeciwko nam wymierza, te niebyłyby nas nigdy wywołały do odpowiedzi, a życzylibyśmy sobie, żeby nie można było żadnych innych więcéj uzasadnionych uczynić. Żartobliwe przekręcanie cytacii, i użycie wyrazów zbliżających się do nieprzyzwoitości, któremi wojuje autor wspomnionego artykułu, tym mniéj by nas skłoniły do przerwania naszego milczenia, bo nie czujemy w sobie zdolności do wdawania się w rozprawy podobnego rodzaju. Jeżeli teraz bierzemy pióro do ręki, to jedynie dla uczynienia protestacii przeciwko zadawaniu nam barwy wbrew przeciwnéj naszym pojęciom i sposobowi widzenia rzeczy, — wbrew przeciwnéj tokowi i treści wzmiankowanego pisma.

Podług recenzenta, *»czynimy wyprawę przeciwko naszym bliźnim«* a daléj, *»odzywa się w nas kastyczność«* a daléj, wyjeżdżamy na naszych teoriach na to, aby lud boży odwieść od ziemi obiecanéj, i t. p. Jednēm słowem przedstawia nas tak, jak gdybyśmy byli nieprzyjaciołmi postępu spółecznego i wszystkie ludzkie nadzieje chcieli na raz jeden wytępić i na stós ofiarniczy wskazać, aby się z nich szyderczo naigrawać. Zaiste, gdyby taki duch panował w naszém dziełku, należałoby je wskazać na zatracenie, — co większa nawet na ochydę, a w takim razie wszystko, co pan J. M. napisał, byłoby jeszcze za słabe. Ale co o nim samym wypadnie powiedzieć jeżeli owe zarzuty spadają dowolnie na pismo wprost przeciwnego dążenia, jeżeli widocznie myśl naszą, *a nawet tekst litteralny przekręca?* Nie mamy zamiaru innych zarzutów rozbierać, jak te, które *podobnemi środkami* usiłują złą sławę nam zadać.

*) Umieszczając artykuł ten, oświadczamy, że bynajmniéj nie dzielimy zdania sz. autora, jakoby sz. recenzent dzieła jego, był miał zamiar przekręcać słowa jego. Znając szlachetny sposób myślenia autora recenzyj, o któréj mowa, zapewniamy, że miał tylko na celu wyświecenie prawdy, o które i sz. autorowi odpowiedzi téj chodzi — bo inaczéj przecież nie umieszczalibyśmy jéj. *Red. Tyg. lit.*

Zaczynamy od zarzutu *kastyczności*, która miała się w nas podług pana J. M. odezwać, skorośmy zestąpili w szranki zastósowania (str. 415 kol. I) kiedy przeciwnie nie zestępowaliśmy wcale w szranki zastósowania, a poprzestawaliśmy na teoriach najogólniejszych o ludzkim społeczeństwie. Na usprawiedliwienie powyższego zarzutu, nic innego nie widzimy, jak następne słowa: »Ale gdy tą samą miarą zrównoważyć miała (nauka o miarze na doskonałość społeczną) »zasługi ludzi uczonych, ot i sęk, o który zawadziwszy cała postępująca ludzkość, przed samym kresem podróży koziołek zrobić musi.« Zdawałoby się podług tego, że się kastyczność w nas odezwała przy zrównoważeniu w społeczeństwie zasług ludzi uczonych, i że z tego powodu pan J. M. robi przeciwko nam tę wycieczkę, — a tym czasem w całym piśmie naszym, *ani wzmianki niema o zrównoważeniu zasług ludzi uczonych.*

Zarzuty pana J. M. przeciwko nam o wyprawę przeciwko bliźnim, i o odwodzenie ludu bożego od ziemi obiecanéj, czyli o przeciw-postępowość, ciągle się przebijają przez mowę recenzenta, jak gdyby istotnie podobne brzydoty cechowały nasze pismo, — jak gdybyśmy niezachowywali najwybitniéj wprost przeciwnego kierunku. Okazją do tych zarzutów są nasze pojęcia o urzeczywistnianiu się idei sprawiedliwości w stósunkach społeczeńskich, i o wzajemnéj pomiędzy ludźmi zależności.

Co do pierwszego, mówiliśmy, że idea sprawiedliwości urzeczywistnia się w stósunkach społeczeńskich, czyli w układzie społecznym, — że te jéj formy zewnętrzne, coraz się wydoskonalają i wydoskonalać muszą na mocy koniecznego postępu ludzkości. Recenzent, który *niewidzi, aby postęp był absolutnym prawem ludzkości* (str. 415 kol, 2. ostatnie wiersze) i usiłuje nas w téj mierze zbijać, — jako z przeciwnego stanowiska, przeczy wszystkiemu cokolwiek myśmy o tym przedmiocie mówili, wspierając to zasadą postępu ludzkości, któréj on nieuznaje. Dotychczas byłby przy swoim słusznym prawie, zbijając nasze zasady na mocy własnych, ale następnie twierdzi, jakobyśmy wyprowadzili wniosek, »*że bezwzględna sprawiedliwość wiecznie pozostanie wzorem nie do usprawiedliwienia*,« a taki wniosek dowolnie na rachunek nasz wykomponowany, służy mu za pierwszy punkt do utrzymywania, że lud boży odwodzimy od ziemi obiecanéj. *Takiego wniosku nie wyprowadziliśmy wcale;* — uważamy zaś ten frazes, którym nas chciał pan J. M. obdarzyć, za źle pomyślany i niedorzecznie wysłowiony, — za przeciwny duchowi naszego pisma, z którym się nieda pogodzić. Albowiem toby znaczyło jedno, co wyrzekanie się postępu społecznego, który przeciwnie położyliśmy a priori jako prawo absolutne ludzkości, i na tym budujemy naszą teorię o urzeczywistnianiu się idei sprawiedliwości w stósunkach społeczeńskich.

Co do drugiego, a mianowicie co do wzajemnéj pomiędzy ludźmi zależności: tu występuje najważniejszy zarzut wyprawy przeciwko bliźnim. Recenzent usiłuje wmówić, że mamy za rzecz nie do urzeczywistnienia wspomniany przez nas idealny najwyższy postęp czyli powszechną jedność wszystkich ludzi i nierozerwaną pomiędzy niemi miłość, — odpowiemy cytacją: (str. 88) »Niesłusznie się lękać badania téj idealnéj »przyszłości, jakoby ta droga miała być zawsze obłędną. A jakkolwiek daleko ludzka wyobraźnia po niéj »się zapuści, każdy postęp, który ona pomyśli niezbaczając od koniecznéj natury rzeczy, tym samym, że »stać się może, stać się musi na mocy prawa koniecznego postępu ludzkości.« To zaś, co recenzanta powoduje do uczynienia powyższego zarzutu, i do utrzymywania, że robimy wyprawę przeciwko naszym bliźnim, jest § 6. r. III p. t. Własność stanowi rozdział pracy i wzajemną pomiędzy ludźmi zależność. Tam utrzymujemy, że istota owego factum, które zwą powszechnie użytkowaniem człowieka przez człowieka (exploitation de l'homme par l'homme) leży w nierównym rozdawnictwie bogactw. Nigdzie tego u nas się nie doczyta, abyśmy jakiekolwiek niesprawiedliwości układu społecznego radzili utrzymywać,— owszem twierdzimy zawsze, że ustępować muszą przed postępem.

Przedmiot dotyczący się wzajemnéj pomiędzy ludźmi zależności, znajduje dopiero obszerniejsze rozwinięcie w dalszym ciągu dzieła. Tutaj zaś chcemy pokrótce wyciągnąć po naszemu konsekwencje słów naszych, którym pan J. M. chciał nadać zupełnie inny kierunek, i spróbujemy to potocznie i w krótkości rozwinąć:

Rozdawnictwo bogactw, wtenczas jest sprawiedliwym, kiedy jest proporcionalnym do zasług niesionych społeczeństwu.

W miarę zmieniających się potrzeb społeczeństwa, zmieniają się także zasługi, — a jeżeli i o ile wśród tego ruchu ocaleją dawne formy i prawo do podziału bogactw, o tyle dolegać muszą, jako nieodpowiednie nowemu momentowi towarzystwa ludzkiego, a każda niesprawiedliwość rozdawnictwa bogactw jest użytkowaniem człowieka przez człowieka. Skoro zaś się zmienia stanowisko danych zasług do społeczeństwa, skoro stają się rzeczą minioną; przewaga, którą miały, niegdyś słuszna, staje się niesprawie-

dliwą. Przy każdym więc nowym momencie ludzkiego towarzystwa, przynoszącym odmianę w stanowisku danych zasług do całego spółeczeństwa, dotąd istnące zasady rozdawnictwa, stają się niesprawiedliwemi, a zatym znikać muszą, a to zjawisko zwykle się odnawia. Ztąd utrzymywaliśmy, że użytkowanie człowieka przez człowieka zniknąć stanowczo nie może, ale zawsze się wyradza, na to, aby znowu przed postępem ustąpić. To zdanie wyrzeczone, jest powodem panu J. M. do mówienia o nas tak, jak gdybyśmy uświęcać chcieli użytkowanie człowieka przez człowieka, inaczéj mówiąc niesprawiedliwość; kiedy przeciwnie żadnéj niesprawiedliwości nie przyznajemy możności utrzymania się, ani oparcia się postępowi.

Skoro ludzkie towarzystwo do wyższego momentu przechodzi, w pozostałych szczątkach przeszłości mieści się wszelka mozolna niesprawiedliwość stosunków społeczeńskich, na to wskazana, ażeby niknąć przed postępem. Towarzystwo zaś ludzkie zawsze na przód idzie, zawsze obala przeszłość, i coraz nowe szczątki tworzy; — Wzajemna pomiędzy ludźmi zależność, dopiero co odpowiadająca ich potrzebom wnet dolegać zacznie, — podział i rozdawnictwo bogactw niegdyś słuszne i wydzielające zasługom część im należytą, staną się niesprawiedliwemi skoro się odmieni stósunek tychże zasług do spółeczeństwa, a ten stósunek nieustannie zmieniać się musi w ludzkości, któréj życiem jest postęp. O tyle więc niesprawiedliwość rozdawnictwa bogactw objawiać się musi, o ile ono nie zdąży iść za nieustannie zmiennym i ruchomym stósunkiem zasług do ludzkiego spółeczeństwa, — o tyle więc użytkowanie człowieka przez człowieka pojawiać się i odradzać musi, aby znowu ustąpić postępowi stósunków społeczeńskich, któryby niemiał celu, gdyby się nie były stały niesprawiedliwemi, nieodpowiadając nowym potrzebom i wymagalnościom.

Jeżeliby postęp rozdawnictwa bogactw zdążył iść tak prędko, jak się odmienia stósunek zasług do spółeczeństwa, wtenczas mylilibyśmy się w wyrzeczonym zdaniu o użytkowaniu człowieka przez człowieka, ale recenzent nie uchwycił tego jedynego punktu, z którego można było nas zbijać stanowczo, w tym nawiasowo wyrzeczonym zdaniu. Mówię nawiasowo wyrzeczonym, bo na nim nie leżało następstwo wykładu, a pan J. M. to wykrzywił i tak wykrzywione chciał podać za treść i zasadę naszego pisma.

Miłość własna autorska nieprzeważa w nas nad zamiłowaniem prawdy, i dla tego wyznajemy, że recenzent dotknął tu punktu, w którym popełniliśmy prostą pomyłkę, chociaż pan J. M. nieumiał jéj zbijać w sposób dostateczny. Dla tego zaś utrzymujemy, iż to jest prostą pomyłką, że dotycze tylko pojedynczo rzeczonego zdania, a nie wykrzywia całego toku dzieła, — że jéj sprostowanie w tym jednym miejscu, nie sprowadza niezgodności, ale przeciwnie do najzupełniejszéj zgodności całość doprowadza.

Tak zaś należało nam było powiedzieć:

Użytkowanie człowieka przez człowieka o tyle zniknąć stanowczo niemoże, i odnawiać się musi, o ile postęp własności, czyli rozdawnictwa bogactw nie zdąży iść tak prędko, jak się zmienia stósunek zasług do spółeczeństwa. Skoro zaś postęp własności ściśle i nierozdzielnie z tym ruchem iść będzie, natenczas niemoże się więcéj objawić użytkowanie człowieka przez człowieka. Musi to zaś mieć miejsce wśród owego idealnego momentu, w którym postęp najdzielniéj odbywać się będzie w powszechnéj wszystkich ludzi jedności.

Prostujemy się więc sami z myłki popełnionéj z pośpiechu pisania. Podaliśmy wypadek niestósowny naszego rozumowania nie dla tego, iżbyśmy wychodzili z mylnéj zasady, ale dla tego, że nieprzeprowadziliśmy naszego rozumowania aż do końca.

Recenzent, ażeby w świetle najochydniejszym nasze dziełko przedstawić, niewaha się przeinaczać nam tekst litteralny najniepodobniejsze rzeczy z niego tworząc; poprzestajemy na wskazaniu przypisku będącego na końcu str. 415, a upraszamy czytelników, by porównać raczyli, co mówiliśmy sami o nędzy, czyli o podległości materyi, a co nam w usta kładzie pan J. M., a każdy, kto zechce tym porównaniem się utrudzić, od razu osądzi, na jaką nazwę zasługuje podobny uczynek.

Autor Filozofii ekonomii materyalnéj.

Pisano 13. Czerwca 1844. r.

KORRESPONDENCYJA.

O TOWARZYSTWIE WSTRZEMIĘŹLIWOŚCI W KRAKOWIE.

(Ciąg dalszy.)

Po takiém rozgatunkowaniu JP. *H.* zapewne jest przekonany, że wszyscy przeciwnicy zalecanych przez niego towarzystw, snadnie do jednéj z pomienionych klass policzyćby się dali. Wszelako mniemam, że pomieszczenie mojéj osoby i wielu innych nabawiłoby

go niejakiego kłopotu. Boć przecież, mówiąc już tylko o sobie samym; nie posiadam gorzelni; nie jestem szynkarzem; co do używania wódki, wina, herbaty z arakiem, pączu i t. p., śmiało powiadam, że jestem wstrzemięźliwszym niż autor i wszyscy razem jego wstrzemięźliwi kolledzy z Krakowa; szczerze, gorąco pragnę dobra mych bliźnich; aż nadto przekonany jestem o zgubnych skutkach opilstwa; wreszcie znam dokładnie towarzystwa o których mowa, przynajmniéj tak dobrze, jak P. Professor: ale właśnie dla tego, że je znam z bliska, uważam je za zbyteczne, a u nas wcale za niedorzeczne a tem samém śmieszne. Zbyteczne, — bo gdzie szczera chęć i rzetelne usiłowanie jednego człowieka, jak np. Ojca *Mateusza* lub Księdza *Selinga* z Osnabryku wystarcza, za których przykładem nauczyciele ludu, osobliwie księża iść powinni, tam towarzystwa wstrzemięźliwości niepotrzebne. I to też jest zarazem najlepszą odpowiedzią na to, co JP. H. gdzie indziéj (na str. 111) o moralnym wpływie wszelkich stowarzyszeń w ogólności wyrzekł. »Dwadzieścia osób« powiada »w celu jakim połączonych, większy nierównie wpływ wywrą, a niżeli czterdzieści osób pojedynczych. Wyobrażenie arcymateryalne o rzeczy czysto umysłowéj. I owszem, w mojém przekonaniu silna wola jednego człowieka, poświęcającego się duszą i ciałem jakiemuś przedsięwzięciu, niezawodnie potężniéj wpłynie na umysły, jak kilkudziesiąt niedołęgów, lub wreszcie ludzi, nie dosyć przejętych ważnością swojego zamiaru. Cóż wreszcie, pytam się, dokazała u nas gromadka szlachty? Oto nic! zgoła nic! Ale też inaczéj być nie mogło. Jeśli więc nasi księża nie wezmą się za ręce, tak, jak w górnym Szlązku*), co bogdajby jak najrychléj nastąpiło, to tém mniéj wskórają w tym względzie apostołowie herbowi **): ale i niedorzeczném jest u nas takie towarzystwo. Bo kiedy sami Panowie bracia, żyjący sobie w dostatkach, i mogący się bardzo obejść bez wina, wszelako go sobie nie odmawiają: co większa niekiedy mniemanych wstrzemięźliwych z uczt z dobrze zagrzanemi głowami wychodzących widzieć można: to naszemu biednemu kmiotkowi i wyrobnikowi, pracującemu nieraz w ostréj zimie po całych dniach pod gołém niebem, pozazdrościli tego jedynego, dotąd taniego posiłku, nie dając mu natomiast innego, podobnie rozgrzewającego i pokrzepiającego. Czyż bowiem zechcą go częstować tęgą kawą lub herbatą? Ale naprzód byłby to napój przynajmniéj 10 razy droższy od wódki; powtóre widziałem ja na jednéj z moich krewnych takie same drzenie całego ciała, jak u pijaków, a wiarygodni lekarze upewniali mnie, że to pochodzi jedynie z picia nadzwyczaj tęgiéj kawy i herbaty. Że zaś słaba herbata lub kawa, tak mdła jak woda ciepła, nigdy kieliszka wódki nie zastąpi, to podobno każdy mi uwierzy. — Ale powiada JP. H. »że gorzałka wcale nie posila, tylko drażni nerwy, przyspiesza krążenie krwi, co większa po chwilowém pobudzeniu sił, zazwyczaj sprowadza osłabienie.« Być to wszystko może; ale pytam się Pana Professora, dla czego lekarze ludziom wycieńczonym długą chorobą, każą pić wino, i to częstokroć nawet stare, w istocie mało co różne od zwyczajnych słodkich wódek? Wszak-

*) Tam to duchowieństwo pojęło już powołanie swoje; zbawienna zrozumiała nauka a nadewszystko własny dobry przykład jest czcią Bogu najmilszą. Tak między innymi postępując sobie ks. *Stefan Brzozowski* proboszcz w Pskowie niedaleko Rybnika, w okręgu opolskim, w krótkim czasie około 2500 ludzi nakłonił do wyrzeczenia się wódki pod przysięgą. Podobnie pobliska pskowskiéj parafia radlińska, zbudowana kazaniem swego proboszcza, zaraz po wysłuchaniu tegoż jednomyślnie podobny ślub zrobiła. *P. A.*

**) Jeden z naszych sz. współpracowników przesyłając nam łaskawie piosnkę oryginalną, którą lud górno-ślązki przeciw wódce śpiewa, daję nam oprócz innych następującą wiadomość o towarzystwie wstrzemięźliwości w górnym Szlązku »Najprzód ksiądz w niemieckich Piekarach w powiecie bytomskim wystąpił z przyjmowaniem członków. Lud się ciśnie — Księża z ambon wzywają lud do przystąpienia do towarzystwa: Jeden ksiądz młody z Polski, mnich franciszkanin, miewa doskonałe kazania w Bytomskim, szczególnie umie on przemawiać do serca ludowi. Ma pozwolenie od rządu pruskiego. W Wielkiém Dembińsku w powiecie rybnyckim, wikary K. Stanisław Niedźwiedziński rodem z ks. poznańskiego, przyjmuje swoich parafian do towarzystwa. Przyjmuje ich tylko w przytomności wielu innych. W téj wsi pierwszym z mających się przyjąć za członka, był tamtejszy karczmarz. W miasteczku Mikułajowie wielu z przyczyny że nagle pić wódkę przestali — zachorowało. — Doktorzy kazali im pić potrosze, ale oni wzbraniali się, mówiąc, że wolą umrzeć, aniżeli pić wódkę. Wszędzie lud polski przystępuje do towarzystwa wstrzemięźliwości. — Największa część osób pijących wódkę porzuca ją i księżom katolickim lud polski zawdzięcza to dobrodziejstwo. — Widać, że lud nasz górnoślązki *dzielny*, kiedy na upominanie mógł porzucić tak głęboko wkorzeniony nałóg. — Wpływ ogromny wywierać to będzie na polepszenie stanu moralnego duchowego i materyalnego ludu polskiego. W niektórych hutach i kopalniach przyjmują przełożeni tylko członków towarzystwa wstrzemięźliwości — do roboty.« Tu załącza sz. korrespondent piosnkę wyżéj wspomnianą owego franciszkanina, którą w innem miejscu umieścimy. — Zwracamy przy téj sposobności uwagę na działania i naszych kapłanów, n. p. staruszka zacnego kapłana w Baranowie K. Zielińskiego; — i kilku innych zacnych z naszych Księży, pojmujących swe stanowisko jako nauczyciele ludu. *Red. Tyg. lit.*

że jak wiadomo nie w innym celu, jak tylko dla wzmocnienia schorzałych. I rzeczywiście, kto tylko kiedy w téj był potrzebie, niemal za każdym kieliszkiem czuł się mocniejszym. Jeśli więc mdłemu choremu wino sił dodaje; tedy wątpić nie można, że kieliszek wódki podobne sprawi skutki u człowieka, już ze względu na jego sposób życia mocniejszych bodźców potrzebującego i do nich przywykłego. Przeto twierdzenie (na str. 87) »iż w najmniejszym kawałku chleba więcéj się znajduje pierwiastków posilnych, aniżeli w całéj beczce najlepszego likieru« jest czystą niedorzecznością. — Jeżeli zaś autor śmie utrzymywać (na str. 90) »że pare szklanek ciepłego piwa nierównie dzielniéj rozgrzewa, aniżeli kwarta najlepszéj gorzałki,« to mu z góry powiadam, że mu nikt nie uwierzy. A chociażbyśmy przypuścili, że szklanka ciepłego piwa w pierwszéj chwlli po wypiciu, tak człowieka rozgrzeje, jak łyk gorzałki, to przecież wiemy z doświadczenia, którego nawet sama powaga professorska obalić nie potrafi, że ostatni nierównie dłużéj utrzymuje ciepło ciału, jak pierwsze. Dopóki więc Ichmć Panowie wstrzemięźliwi nie obmyślą dla naszego ludu czegoś takiego, coby wódkę zupełnie zastąpić mogło, dopóty usiłowania ich będą daremne; coby nawet było rzeczą obojętną, byleby jéj tylko nienadużywano. Z resztą jestem pewien, że sami w to nie wierzą, co w innych wmawiają, t. j. że nasze biedaki zupełnie bez wódki obejść się mogą (niepodobna bowiem przypuścić takiego zaślepienia); ale obok małpiarstwa szło im tylko oto, żeby w ten sposób zwrócić na siebie uwagę i wielkie obudzić w mieście mniemanie o swém zamiłowaniu dobra powszechnego.

Po wspomnionéj powyżéj klassyfikacyj nieprzyjació towarzystw wstrzemięźliwych, autor usiłuje jeszcze niektóre zbić zarzuty, tymże czynione. A naprzód ten, iż prosty wyrobnik przy ciężkiéj pracy i złéj żywności, potrzebuje koniecznie gorzałki ku wzmocnieniu, po prostu usuwa, odmawiając jéj téj własności. Co zaś o tém zaprzeczeniu trzymać należy, już się powyżéj okazało. Toż samo rozumieć i o tém, co pisarz twierdzi o piwie grzaném, w porównaniu z gorzałką. — Zarzuty ze strony gospodarzy wiejskich są 1, iż uprawa gruntu polepsza się przez gorzelnie, a to przez sposobność utrzymywania większéj liczby bydła, zkąd znowu więcéj otrzymuje się nawozu. Na to odpowiada autor: gdzie wielkie gorzelnie, tam rozpijają się chłopi, następnie nędznieją, a ztąd oczywisty upadek rolnictwa. — W tém bardzo się z nim zgadzam; chociaż właściciele gorzelni mogliby mu odrzec, że jeżeli gorzałkę w wielkiéj wyrabiają ilości, to nie dla tego, żeby ją właśni wypijali poddani, ale raczéj na przedaż w inne, częstokroć dalekie strony. — Skuteczniéj odpowiada pisarz na 2gi zarzut, ze strony dziedziców włości, że wyrabianie gorzałki ułatwia sprzedaż zboża, a nawet przyczynia się do podwyższenia jego ceny a tém samém i dóbr ziemskich. — Słusznie bowiem uważa JP. *H*, że jeśliby uprawa zboża nie popłacała, to natomiast sadzenie buraków, hodowanie owiec, lub inne gałęzie przemysłu wiejskiego, niedobór co do zboża wynagrodzą. Jeżeli zaś niechcąc szynkarzom odebrać zarobku, gdyby pozamykano gorzelnie, autor z szynków i karczem myśli zrobić kawiarnie, gdzieby można dostać nie tylko piwa, ale i kawy i czekolady (dla kogo? — pytam się; — czy dla naszych ubogich wyrobników i włościan?) wziąłbym to za czyste drwiny, gdyby mowa poważna, w całém pisemku używana, nie zmuszała mnie poczytać to raczéj za wyskok dziwactwa lub prosty wybieg, żeby żadnego zarzutu nie zostawić bez odpowiedzi, chociaż prawdziwie nie pojmuję, dla czego się opiekuje takimi ludźmi, których nazywa zakałem i hańbą społeczeństwa ludzkiego (str. 102), których rzemiosło nazywa obrzydliwém, fatalném, haniebném (str. 102—3), a tak, czy słusznie? niechaj każdy nieuprzedzony czytelnik sam osądzi — nie ledwie z oprawcami w równi ich kładzie; a nawet co gorsza, z właściwą sobie przesadą bez granic, (na str. 124) przezwał ich otrucicielami! — Ale pociesza także i rządy, że o ileby zmniejszenie lub wcale zniesienie gorzelni uszczupliło przychody; o tyleby ten ubytek wynagrodziła opłata od warzenia piwa, jeśliby jéj zupełnie znieść nie chciano.

(Dokończenie nastąpi.)

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Wtorek. Prenumerata, wynosząca półrocznie 2 Talary, przyjmuje się po wszystkich królewskich pocztamtach, i księgarniach krajowych i zagranicznych. Główny debit ma księgarnia J. K. Żupańskiego w Poznaniu.

Redaktor *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*